

Kopciuszek 2002

To, że skończę pod latarnią, w samych sandałkach i marynarce Goździka zarzuconej na sylwestrową sukienkę, przeczynałam już w chwili wyjazdu na ten bal. Na taki przebieg wydarzeń w dużym stopniu miała wpływ asertywna postawa mojej mamy, która wspaniałomyślnie zrezygnowała (pomimo kwaśnej miny ojca) z prywatki u cici Eli i zaoferowała swoją pomoc w opiece nad dziećmi (planowałam tylko jedno, ale to drugie jakoś tak wpadło trochę przez przypadek). Jak dobrze, że się pani zatrzymała! Wie pani, gdy zobaczyłam światła samochodu, pomyślałam – oto wybawca, na pewno się zatrzyma, ulituje nad ośnieżoną, zmarzniętą dwudziestolatką. Potem, jak już machnęłam ręką, ogarnęły mnie wątpliwości (o rany, a może to zbój, morderca, złodziej?), ale kamień spadł mi z serca, gdy zobaczyłam nad kierownicą pani twarz. Uff... I jak tu nie wierzyć w dobre wróżki? A wie pani, że to zabawne, że pani także doznała bajkowego skojarzenia? Tyle że ja nie jestem Dziewczynką z Zapałkami – nie palę... Ja jestem z zupełnie innej bajki, zaraz pani wszystko opowiem po kolei, od samego początku. Zwykle bajki zaczynają się tym samym utartym zwrotem:

„A było to tak...”.

* * *

Przekręciłam klucz w drzwiach, weszłam. Wielki cycol grubej Gośki zwiisał zaledwie kilka centymetrów nad podłogą. Spali oboje, Goździk oparty ramieniem o ścianę, Gośka z opuszczoną głową i rozmazanym lewym okiem. Myśli pani, że mnie ruszyło? Nie, chłodno, jak wytrawny oficer śledczy, lustruję sytuację. Oto w łóżku mojego chłopaka zastaję moją, hm... byłą koleżankę z przedszkola. Słoneczny, grudniowy ranek, do Sylwestra zostało tylko kilka dni. Rekwizyty: dzinsy Goździka na fotelu, spódnica Gośki na podłodze, pozostała garderoba rozrzucona tu i tam. Mniejsza o szczegóły, ale na abażurze lampy wisi jedna pończocha. A druga? Uświadamiam sobie, że ta druga, to w tej chwili jedyny ubiór Gośki... Wie pani, w tym momencie poczułam ukłucie w klatce piersiowej, a cały mój spokój diabli wzięli. Trąciłam butem stringi Gośki – rozmiar 44! Pamiętam, jak chichotałyśmy z dziewczynami, gdy Gośce wszystko się trzęsło przy skakaniu w gumę. (A zwis przewrotny na drabinkach nigdy nie został przez nią zaliczony!) Ale teraz nie było mi do śmiechu. Wlepiam wzrok w ich twarze, ale ani drgnęły. Patrzę na stolik – wino, prawie pusta butelka. Z satysfakcją odnotowuję, że Goździk mnie częstował gatunkowo lepszym. Pocięcha to niewielka, ale zawsze jakaś tam.

W zakurzonej lustrze widzę swoje odbicie, słońce świeci mi w plecy, pada na taflę, odbija się od niej i oświetla moją twarz. Jestem prawie przezroczysta, tylko ruda czupryna lśni jak ogień. Ustawiam się

bokiem, wypinam biust. Wie pani, nawet gdybym przybrała dziesięć kilo, to i tak żadna z moich piersi nie zwiślałaby tak malowniczo jak tej Gośce. Ruda-chuda – oto cała ja! No i jeszcze to imię. Mam je w dowodzie osobistym, prawie jazdy, indeksie, w ogóle we wszystkich papierach, a wszystko to przez roztargnienie taty. Wie pani, ja już się taka urodziłam, od razu miałam rudą czuprynę, więc wołali na mnie Iskra. W dzień spałam, w nocy się darłam, a mama chodziła po ścianach. Sąsiadki z wieżowca orzekły, że przestanę szaleć, jeśli nadane zostanie mi oficjalnie imię po babci. Tak się składa, że ludzie mają po dwie babcie, te moje noszą imiona Dominika i Genowefa. Pech chciał, że ojciec w USC wybrał to drugie – no i tak zostało. W przedszkolu poznałam trzy Agnieszki, dwie Anie, ale mojego imienia nie nosił nikt, łącznie ze mną! Zwracano się do mnie tak jak w domu – Iskra, Iskierka, a złośliwcy rzucali czasem pospolicie „Rudzielec”. Gośka miała pełne prawo, aby mnie nie lubić. A ja jej.

– Iskra w lot chwytła matematykę, a ty co?! – matka Gośki.

– Patrz, jak Gosia ładnie wszystko zjada, a ty się wiercisz i nie masz na to czasu! – a to moja.

– Iskra ma znów świadectwo z paskiem, a ty same tróje! – wysłuchiwała Gośka.

– Wydarłaś wszystkie rajstopy, popatrz na Gosię, grzecznie siedzi na ławeczce, nie łązi po płotach! – słyszałam nie jeden raz.

No i tak dosłyszmy w duchu rywalizacji, pod dachem wspólnego wieżowca, na jednym podwórku, obmyślając sposób odegrania się na sobie przy pierwszej sposobności. No i stało się, Gośka górą.

Proszę pani, mam dwadzieścia lat, czas na drobne podsumowanko. Ogólnie – nie jest źle. Wie pani, ja zawsze sobie radziłam, a jak miałam problem, to sama siebie brałam na męską rozmowę – i po problemie. Ale w ten słoneczny, grudniowy dzień dotarło do mnie, że w relacjach z facetami coś zgrzyta, a dowód na to leżał oto przede mną, w łóżku mojego chłopaka.

Zaraz, kiedy ja pierwszy raz w życiu usłyszałam coś miłego z ust faceta? Chyba to był Rafał, jakoś tak na początku podstawówki. Siedziałam sobie na murku i dyndałam nogami, a on się przysiadł i też zaczął dyndać.

– Iskra, ja bym ci coś powiedział – zaczął niepewnie.

– Chcesz gumę? – spytałam rzeczowo i dość uprzejmie.

– E.. Dzisiaj nie... Wiesz, chłopaki z podwórka mówią, że gdybyś nie była taka ruda, to wszyscy by się w tobie kochali, bo ty najlepiej grasz w zbijanego.

Popatrzyłam na Rafała z ukosa, a on, zacerpnąwszy powietrza, wypalił:

– Ale mi to wcale nie przeszkadza, naprawdę! Ty jesteś najfajniejsza z całego wieżowca. I MASZ NAJLEPSZE NOGI...

Oj, to zdanie zapamiętałam na długie lata. A wtedy, gdy je usłyszałam pierwszy raz, uważnie przyjrzałam się moim nogom... No tak, i Rafał, i ja mieliśmy na sobie bure addidasy, czarne skarpety, kolana całe w niebiesko-żółtych siniakach, tu i ówdzie upstrzone zadrapaniami. W porywie wdzięczności obiecałam, że będę go zawsze wybierać do mojej drużyny – i słowa dotrzymałam. Ostatnio rzadko widuję Rafała – studiuje prawo, chyba we Wrocławiu. Jesienią mignął mi w przelocie.

– Cześć, Iskra! – rzucił, tuląc blond laskę z nogami prosto z solarium.

Przyjrzałam się dokładnie – ani jednego siniaka. Widać gust facetów bywa zmienny.

...A potem?... Ja byłam aktywną harcerką, a nasz drużynowy boskim gościem pod trzydzieczę. To dla niego co wieczór przy ognisku szarpałam struny gitary. Któregoś dnia podszedł do mnie i tak spojrzął, że zaniemówiłam.

– Iskra, jesteś genialna, moje uznanie!

Zanim zdążyło zawirować mi w głowie, wyjaśnił, że jest pod wrażeniem zaprojektowanego przeze mnie szańca wokół naszego obozowiska... A niechże mnie pani nie pyta o ten szaniec...

A potem to już był chyba Goździk. Mój Goździk. Mój?... Po pół roku chodzenia spytałam go, w którym momencie zwrócił na mnie uwagę, a on wypalił – jaki przygotowany! – że po pierwszych

ćwiczeniach z mechaniki. Asystent z uśmiechem narysował belkę, taką prostą, podpartą w jednym punkcie i spytał, kto z nas jest w stanie ją obliczyć. Byłam na wykładzie, pamiętałam wzory, więc spokojnie obserwowałamuchy na suficie.

– A może któraś z pań? – asystent skłonił się przede mną. (Czerwony kolor przyciąga – udowodnione, przetestowane.) Podeszłam do tablicy i spokojnie wyprowadziłam wzór.

– Pani jest po technikum? – ni to spytał, ni stwierdził asystent.

– Po ogólniaku. Jakie wartości liczbowe mam podstawić w miejsce zmiennych, panie magistrze?

Asystent jęknął, a Goździk wyznał mi, że od tego momentu nie mógł przestać o mnie myśleć. Potem dziadek podarował mi „cienkusia”, a że Goździk nie miał takiej wprawy jak ja, więc na początku wozilałam go po mieście, a za miastem on wskakiwał za kierownicę. (Pani wie, że Gośka miała trzy podejścia do egzaminu na prawko? ...No tak, ale to ona, nie ja, leżała teraz obok Goździka.)

...Raz jeszcze popatrzyłam na nich. Spali. Wyjęłam z kieszeni klucze, które dał mi Goździk pół roku temu, przewiązałam je pończochą Gosi i odwiesiłam na bażur. Zgasiłam lampę – była mocno rozgrzana, a stilon jest łatwopalny.

Szłam ulica i szlag mnie trafiał. Koniec wspólnych jazd, spacerów wokół „Palmiarni” konnych przejażdżek u księży, wypadów do Niesulic, no i kicha na Sylwestra! Marna satysfakcja – belki i kratownice będzie sam sobie liczyć, bo akurat w tym Gośka mu na pewno nie pomoże! Widać laski dzielą się na te ozdobne i te użyteczne, ale ja, jak wskazują dotychczasowe źródła historyczne, nigdy nie należałam do tej pierwszej kategorii. Po cholere wydałam kupę szmalu na sylwestrowego ciucha? Po diabła te sandały na obcasach? Kretynka, pięć dni smażyłam nogi w solarium...

Choć byłam wściekła, jak zwykle dość trzeźwo myślałam. Oto mam ciekawy pomysł na twórcze i pożyteczne spędzenie czasu w noc sylwestrową. Całą resztą postanowiłam martwić się jutro (genialny przepis na spokojną głowę, wypróbowany przez literacką Scarlet). Chłopak z punktu ksero miał głupawą minę, gdy poleciłam mu wydrukować w pięćdziesięciu egzemplarzach:

STUDENTKA ZAOPIEKUJE SIĘ DZIECKIEM W NOC SYLWESTROWĄ. DZIECKO MOŻE BYĆ NIEZNOŚNE

Na końcu podałam numer swojej komórki. Wie pani, że klejąc ostatnią ulotkę, odebrałam pierwsze zgłoszenie?

Otrzymałam w sumie cztery telefony od ludzi gotowych pozbycia się swej pociechy, no i ten piąty, wieczorem, od Goździka. Wie pani, dopóki leciał z tym swoim ble, ble, ble, przeplatany słowem „przepraszam”, to jakoś to znosiłam, ale wie pani, co mi wałnęła na koniec?

– Iskra, wybacz, chciałem się tylko dobrze przygotować do tego PIERWSZEGO RAZU Z TOBĄ... – Słuchawka oparzyła mi ucho, naprawdę, nie świruję! Ręce mi opadły, nie miałam siły solidnie jej odwieścić, zsunęła się z widełek, dyndała na drucie, jęcząc cicho: uuu... uuu... uuu...

Wie pani, mam gdzieś Gośkę, ale ten facet wyciął paskudny numer albo jednej z nas, albo nam obu! Wydzwaniał na komórkę i stacjonarny, negocjował z moją mamą, próbował wciągnąć w to mego ojca – i to wszystko mieściło się w pale, choć było nieskuteczne. Ale wie pani, co on jeszcze wywinął? Powiem pani, ale proszę dobrze trzymać kierownicę – przysłał po mnie, o godzinie osiemnastej w sylwestrowy wieczór, kierowcę swojego papy! Oczywiście, że najpierw chciałam uprzejmie spuścić gościa ze schodów, ale...

– Panno Iskierko, pan starosta powiedział, że jeśli pani nie przywiezę, to wyleje mnie z roboty!

Napomknął też o kiepsko zarabiającej żonie i trójce dzieci na utrzymaniu. Mówiłam już pani, że oprócz racjonalnego umysłu mam miękkie serce? Wskoczyłam w ciuchy, pantofle, ciotka Ela wałnęła mi makijaż, dzieciaki (dwójka pięcioletków) przykolegowały się do mojej mamy, a ja, ciężka kretynka – hajda ponad sto kilometrów, służbowym Espero, w śnieżycę!

Szkoda, że nie widziała pani miny Goździka. Opanowałam się na tyle, by nie zrobić siary jego ojcu:

– Dobry wieczór, serdecznie dziękuję państwu za zaproszenie, to dla mnie zaszczyt i ogromna przyjemność.

Ble, ble, ble... Wie pani, uświadomiłam sobie wtedy, że albo jestem paskudną zmiją, albo cholera, zależy mi na Goździku...

Mówię pani, w życiu nigdy przedtem nie byłam na takiej balandze – łośoś w śmietanie, orkiestra we frakach, obsługa damska w stroju topless. No i błysnęłam towarzysko – ojciec Goździka poprosił mnie do walca angielskiego, a ja dałam się bezbłędnie poprowadzić. (W ramach resocjalizacji ciągana byłam w dzieciństwie przez rodziców do ogniska muzyczno-tanecznego. Opanowałam oba walce, chwyciłam podstawowy krok samby i cha-chę, ale po roku nauki dałam sobie z tym spokój, bo zimą na pudle od skrzypiec zjeżdżałam z górki, z reguły z dodatkowym pasażerem, a pudło było tekturowe... Lutnik tylko pokręcił głową: „oj, nic nie zrobię, to nie skrzypce, to już szmelc”. W życiu nie pomyślałam, że właśnie walcowanie kiedyś mi się przyda!)

...Na czym to stanęłam? Aha, ten walc. Wie pani, że jak tak tańczyliśmy, to „dworzanie” Goździkowego papy otoczyli nas kołem, zatrzymawszy się w tańcu, i przymilnie oklaskiwali... Czy mi się to spodobало? A nawet, nawet, bo wychyliłam nie jedną, a dwie lampki szampana (markowy, ale kwasior, za dużo bąbelków), i pod wpływem tej upojonej chwili poważnie zastanawiałam się, jak mam wybaczyć tej cholercze, wlepiającej we mnie wzrok pełen skruchy i psiego uwielbienia...

I byłoby wszystko super, gdyby nie zdarzenie, dzięki któremu zdobyłam – drużynowy by mi to w ciemno zaliczył – sprawność Kopciuszka. Pani dopatrzyła się we mnie elementów Dziewczynki z Zapałkami, jako dziecko robiłam za Brzydkie Kaczątko, ale moją sztandarową rolą pozostanie Kopciuszek, z tą tylko różnicą, że nie zgubiłam buta, chociaż schody liczyły ze sto stopni, a ja pokonałam je w kilka sekund! Zaraz pani powiem, dlaczego im związałam. Ruszyło mnie, gdy ojciec Goździka, zaraz po tym walcu, ni z gruchy, ni z pietruchy ogłosił (proszę dobrze trzymać kierownicę!) „zaręczyny mojego syna i obecnej tu panny...” i tutaj padło moje imię, w pełnym, urzędowym brzmieniu oraz nazwisko – póki co panieńskie. Proszę pani, Stwórca nie skonsultował ze mną koloru moich włosów, tata nie uzgodnił ze mną mojego imienia, ale czy nie uważa pani, że przysługuje prawo do chwili zastanowienia, zanim wyrażę zgodę na zmianę mojego nazwiska?!

...Mówi pani, że na panią też miało wpływ harcerstwo i że lubi pani bajki? Och, to dobrze, może wpadnie pani do głowy jakiś pomysł na dyplomatyczne przekazanie Goździkowi jego marynary z zaręczynowym pierścionkiem, tkwiącym zapewne w którejś kieszeni...

Czy mogę liczyć na pani pomoc, dobra wróżko?

